Rok 1937 21 lutego Nr 8

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"

Pod krzyżem

Od Żłóbka maleńkiego Jezusa zwróciliśmy się już ku majaczącemu z dala Krzyżowi, na którym niebawem zawiśnie On jako nasz Zbawca, jako Odkupiciel świata.

Od radosnej, niefrasobliwej nuty kolędowej „Pójdźmy wszyscy do stajenki", przeszliśmy do targającej sercem pieśni pokutnej „Ach, ach, zmiłuj się nademną, uczyń miłosierdzie ze mną"...

I tak wołać będziemy dopóty, dopóki u skalnego Grobu Chrystusowego załzawione oczy nasze nie dostrzegą słów ostatnich: „Wykonało się"...

Oto droga żywota owej Dzieciny, złożonej na sianku przez Matkę, której duszę rozpierało szczęście bez granic.

Nie zbraknie Jej i tu... Ale jakaż inna, jakaż podobna męką do Syna Swego najdroższego!... Wszystko z Nim dzieliła od onej niezapomnianej chwili pod gwiazdami betlejemskiego nieba - aż potąd, kiedy nad Przenajświętszą Jego głową światło błyskawicy oświeci czarne, straszliwe chmury grozy w świętym Jeruzalemie...

Oto Bóg - Człowiek...

Oto Matka Jego...

Te dwie postacie przewijać się nam będą przez cały czas Wielkiego Postu. O nich będą jęczały tony Gorzkich naszych Żali, do Nich będziemy wznosili serca z prośbą o przebaczenie win...

A kiedy tak w prochu pokuty błagać będziemy u stóp Krzyża o zmiłowanie, Chrystus umęczone oczy zwróci ku Swojej Bolesnej Macierzy i spyta szeptem najcichszym: Matko, przebaczasz Ty ziemskim synom swoim?

A wtedy Najświętsza Współodkupicielka, jako pokorna zawsze Służebnica Pana, uciszając dłonią ból przebitego mieczem serca, odrzeknie: Jezu... Tyś powiedział... Pochwalone niech będzie Imię Twoje na wieki...

Olcha — i Olszynka

Rzadko kiedy nakłada w zimie przyroda drzewom balowe stroje. Zależy to tylko od jej kaprysu. Raz owija je w prześliczne, delikatne tkaniny „szadzi", że wyglądają jakby w szklanych ażurach i koronkach, to znowu otula je niby wełnianą materią puszystego śniegu.

Nie dobrze jednak czują się drzewa w tym przybraniu bogatym, łamią im się bowiem często pod ciężarem stroju liczne gałęzie i gałązki. Wolą sterczeć sobie nago, wyciągnąwszy ramiona na mróz i wichry, na słońce i śnieg — na wszystko, co się jeno zdarzy w ciągu długiej zimy. Robią wtedy wrażenie istot zamarłych, ale niechaj tylko powionie z dala tchnienie nadchodzącej wiosny — już budzące się życie drga w najdrobniejszej witce.

Z pomiędzy licznych drzew naszych lasów, szczególnie olchy stanowią w zimie dla ptaków suto zastawiony stół biesiadny, gdyż o tej porze dojrzewają

ich nasionka. Korzystają też z tego przede wszystkim czyżyki, śpiewające nam nawet i w zimie, oraz ich liczne krewniaczki, czeczotki, które jako goście, wraz z jemiołuszkami, przylatują do nas z dalszej północy, gdy tam zbyt sroga zima i zwalone śniegi nie pozwalają znaleść ani odrobiny pożywienia.

Olchy, jak wiadomo rosną głównie nad wodami, a nawet bardzo często moczą sobie w nich stopy. Mimo to, drzewo olchy jest niesłychanie odporne na wilgoć i dlatego bywa używane do budowy młynów wodnych, na koła, które obraca woda, na pale pod mosty, a także na naczynia służące do wody, jak konwie, stągwie, szafliki, łyżki itp.

Listki ma olcha pięknie wykrojone i lekko pomarszczone, czym przypomina liście buków i grabów. Zwisają z niej teraz małe kitki czyli bazie pręcikowe oraz słupkowe, które stanowią właśnie owo cenne dla ptaków pożywienie.

Dla Polaka widok olszyny jest szczególnie drogi. Przypomina nam ona nieśmiertelny bój roku 1831 (25 lutego) w Olszynce Grochowskiej, gdzie pod wodzą generała Chłopickiego krwawiły się polskie wojska, zwłaszcza słynny pułk „czwartaków", o których to później śpiewa znana pieśń „Tysiąc walecznych opuszcza Warszawę".



Sławny pułk „czwartaków" po bitwie pod Olszynką Grochowską, dn. 25-go lutego r. 1831, ze swoim dowódcą, pułkownikiem Bogusławskim (w płaszczu), który na rozkaz gen. Skrzyneckiego: „na bagnety!" — wyparł z lasu Moskali. W czasie trzeciego ich ataku, kierujący całą bitwą generał Chłopicki, trafiony granatem w nogi, został odwieziony do Warszawy, co nie pozwoliło wykorzystać zwycięstwa.

❊

Obraz ten namalował sławny malarz Wojciech Kossak, twórca niezliczonych malowideł, przedstawiających najświetniejsze czyny polskiego oręża aż do ostatnich bojów podczas wojny światowej i bolszewickiej. Kossak, mimo lat 80, pracuje dalej z młodzieńczym zapałem, wzbogacając malarstwo polskie coraz to nowymi arcydziełami swego pędzla.

Poeta Gaszyński w wierszu upamiętniającym bój grochowski, pisze m. in.:
„Powiewała olszyna, zbielona szronami,
niby baldachim z skrzydeł orła lub anioła,
co miał osłaniać święte bohaterów czoła.

I gdy w potrójnym szturmie gęste wro-
[gów strzały
szczyty drzew opiekuńczych kulami strą-
[cały,
ich gałęzie spadając na rycerzy głowy,
przystrajały ich skronie, jak w wieniec
[laurowy.
O, gaju — święty dla nas, Olszyno Gro-
[chowa!
Pamięć o tobie Polak w późny wiek
[przechowa!“...

Zresztą w ogóle wiele drzew w Polsce cieszy się naszą miłością, łączą się bowiem z nimi różne pamiętne chwile historyczne. Szczególnie poważną czcią otaczane bywają stare lipy i dęby; pierwsze, jako ulubione drzewa króla Jana Sobieskiego, który bardzo wiele ich własnymi posadził rękami; drugie zaś zachowały dla nas swój urok jeszcze od prawieków, kiedy to w świątyniach leśnych naszych pogańskich przodków odbierały cześć boską.

Co potrafi „ojciec wszystkich wód“

Pamiętamy chyba jeszcze wszyscy ową straszną powódź z przed kilku laty, która nawiedziła głównie Podhale, a także Kieleckie, i która — poza licznymi ofiarami w ludziach, narobiła szkód na wiele milionów złotych i na długi okres czasu. Nie prędko bowiem wrócą obszary ziemi rolnej choćby do poprzedniego swego stanu, gdyż rozszalała woda zabrała z nich wszystko co najlepsze, zostawiając jeno kamieniste podłoże.

Powódź tę sprawiły — jak wiemy — długotrwałe deszcze, skutkiem czego niepozorne w czas zwykły strumienie, zamieniły się w rwące rzeki, które nie mogąc pomieścić w swych korytach nadmiaru wody, wylewały ją szeroko i zalewały całe okolice. Znikały pod nią pola i łąki, drogi i gościńce, chaty i nawet domy murowane. Ginął ludzki dobytek, bydło i zboże, sprzęty i odzienie, ginęli mieszkańcy tych domostw, zaskoczeni niespodziewanie potworną masą wód, tak, że nie mieli czasu na zabranie choćby najlichszego okrycia. W jednej chwili z ludzi mających własny dach nad głową, z gospodarzy, cieszących się zwiezionym szczęśliwie plonem, stawali się ostatnimi nędzarzami — bez kawałka chleba, bez grosza, bez odzieży, bez kąta do przespania.

Takie straszne nieszczęście sprawiły nasze polskie, niewielkie rzeki i rzeczułki, a choćby nawet i największe, najbogatsze w wodę, jak Wisła, San, Warta i inne. (Ciąg dalszy nastąpi).

Mściciel z Zameczka.

POWIEŚĆ. Napisał Marian Warta.

(Dokończenie)

Ledwie Józef przyprowadził pierwszą gromadkę do altany, Boliwanowa krzyknęła z rozpaczą, teraz bowiem dopiero spostrzegła, że góra domu, w którym synów zostawiła, stoi już w ogniu. Lecz Józef ją uspokoił, że zaraz wszystkich wyprowadzi na miejsce bezpieczne.

Otworzył tajemne drzwi i matkę z czworgiem dzieci wpuścił do komory pod altaną, gdzie mrok rozjaśniała jego latarka. Prosząc, by nie dała dzieciom głośno płakać, oddalił się.

Za chwilę przyprowadził tu obu chorych chłopców poowijanych w kołdry i tak się słaniających na nogach, że trzeba ich było prawie nieść.

Wrócił znowu do płonącego domu i wraz z Julią wyniósł w krześle staruszkę.

Jeszcze z ciężarem nie dostali się do altany, gdy do ogrodu wpadły, wyjąc przeraźliwie oba brytany.

— Ol rajt, ol rajt! — wołał ku nim uszczęśliwiony Józef, a kiedy psy go

poznały, tak mu się oba z głośnym skomleniem rzuciły na piersi, że się ich nie mógł pozbyć, gdy przyszło wpuścić w podziemia krzesło z paralityczką.

Trzeba było, by dzieci przywołały Tygrysa i Żmiję do siebie, i dopiero wtedy, gdy psy naprzód weszły do środka, Józef zsunął w głąb babunię.

Nikt ich nie zobaczył, gdy tak znikli w podziemiach.

Józef szczelnie zamknął za sobą tajemne drzwi do pieczary, do której oprócz rodziny Boliwanowa z guwernantką i brytanami, nie wpuścił nikogo więcej w obawie, by nie zdradzić tajemnicy.

Uprosiwszy, by go nikt o nic nie pytał, zajął się ich dalszym ratunkiem.

Boliwanowa w jednym ręku niosła dziecko, w drugim latarkę, oświetlając przodem drogę. Za nią wlokły się trzy dziewczynki i co chwila z nóg się walący chorzy chłopcy. Z tyłu dopiero Józef z Julią dźwigali w krześle staruszkę.

Pochód ustawał co chwilę, ponieważ zapłakane dzieci taki strach ogarniał w podziemiach, że bały się iść dalej, mimo zapewnień matki, że im się nic nie stanie.

Ona sama dodawała innym odwagi, lecz trzęsła się w trwodze, szeroko otwartym okiem patrząc przed siebie w niekończący się korytarz, którego mroki słabo tylko rozjaśniało chwiejne światło z jej ręki.

Musiano często odpoczywać, mimo, że ze względu na chore dzieci, byłoby pożądane co prędzej wynijść z piwnicznego zimna.

W godzinę później ciche mieszkanie pani Marty Tyszeckiej napełniłosię się wrzawą.

Matka Józefa, ze snu rozbudzona, nie mogła w pierwszej chwili zrozumieć co się stało.

Miała wrażenie, że jeszcze śni, i że to los jeno we śnie tak zdziałał, by ona właśnie miała w największym nieszczęściu dać schronienie sąsiedzkie całej rodzinie zabójcy jej męża i syna; temu, co sąsiadów nie znał na wojnie; co więcej, by ona właśnie pielęgnowała w chorobie synów Boliwanowa w tym samym pokoju, gdzie noce bezsenne spędzała przy łóżku rannego Józefa, odświeżając sobie w myśli co godzina wrażenie owego pierwszego wieczora, kiedy syn wyznał jej straszną wiadomość.

Ale kiedy zrozumiała, że to nie sen i kiedy to wszystko stało się rzeczywistością, przycisnęła ze łzami swego syna do serca, szepcząc mu do ucha szczęśliwa:

— Dziękuję ci, mój drogi Józefie... nie mogłeś, synu, zemścić się szlachetniej...

O tej samej chwili gromadka bohaterów polskich, zdziesiątkowana podczas szturmu, wkroczyła do forteczki, biorąc w niewolę całą jej załogę na zgliszczach dworu w Zameczku.

A nazajutrz niedoszły „mściciel“ własnymi rękami zniszczył w podziemiach krużganek, który umożliwił mu spełnienie najpiękniejszego czynu w życiu.

Koniec.



Jak polska pyza wędrowała

VIII.

Pyza wsi się pokłoniła
I przed siebie wyruszyła.
Poszła wąską, polną steczką
Pod skrzydłami skowro-
[neczków.

(Koniec)